

Joanna Januszevska–Jurkiewicz, *Stosunki narodowościowe na Wileńszczyźnie w latach 1920–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2010, s. 710.

Literatura poświęcona stosunkom narodowościowym w międzywojennej Polsce jest olbrzymia, lecz nadal daleka od wyczerpania tej problematyki. Bodajże pierwsza praca, której autor (Leon Wasilewski) rozważał zagadnienia językowe Litwy i Białorusi, a więc terytoriów, których fragmenty weszły po pierwszej wojnie światowej w skład Rzeczypospolitej Polskiej, ukazała się już w 1913 r., czyli niemal przed stuleciem. Do dzisiaj obszar „Kresów Wschodnich”, rozmaicie określany, wywołuje zainteresowanie historyków, nie tylko ze względu na dawne więzi państwowe Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną, lecz także na więzi rodzinne łączące z nim wielu obywateli Rzeczypospolitej. Interesuje więc nie tylko historyków, a zdarza się słyszeć opinię, że są to „prastare ziemie polskie”. Wywołuje to uzasadnione protesty Białorusinów, Litwinów i Ukraińców, którzy widzą w tych ziemiach ojczyznę swych praojców.

Szczególnie godnym uwagi terytorium jest ziemia wileńska, przedmiot konfliktów (także zbrojnych) między Polską a Litwą, gdzie od wieków żyli przodkowie Białorusinów, Karaimów, Litwinów, Polaków, Rosjan, Tatarów i Żydów, a w drugiej połowie XIX w. rozwijały się ruchy narodowe, zwłaszcza trzech najliczniejszych — obok Polaków — grup etnicznych: Białorusinów, Litwinów i Żydów. Recenzowana książka jest w tej dziedzinie dziełem bez przesady fundamentalnym. Nie należy roznieć tego jako złośliwego przytyku do jej objętości, choć nie jestem entuzjastą coraz częściej spotykanych książek, które czytelnik, zwłaszcza starszy wiekiem, z trudem może unieść. Odniosłem z lektury wrażenie, że autorka zakreśliła sobie początkowo skromniejszy zakres pracy, lecz w trakcie studiów rzeczywistość okazała się nazbyt skomplikowana, by zrealizować projekt w postaci książki o mniejszych rozmiarach. Co więcej, chociaż tytuł wyznacza ramy chronologiczne lat międzywojennych, dla wyjaśnienia wielu zagadnień okazało się niezbędne sięgnięcie do dziejów dawniejszych.

We wstępie czytamy: „Książka ta nie powstałaby, gdybym w domu rodzinnym nie miała okazji słuchać barwnych opowiadań mojego Taty o Świącianach [...] w których mieszkali dobrzy ludzie różnych narodowości”. Łatwo dostrzec, że książka ta ma pod niejednym względem charakter bardzo osobisty, zaś autorka żywi niewątpliwą sympatię dla „ludzi różnych narodowości”, niekoniecznie nawet dobrych (o czym jednak trudno nieraz dowiedzieć się z tego, co pisze). Osobiste zaangażowanie historyka, a zwłaszcza znajomość rodzinnych wspomnień, rodzi jednak poważne niebezpieczeństwa. Przede wszystkim zagraża stronnictwo, zwłaszcza tam, gdzie (jak w recenzowanej książce) mamy do czynienia z ostrymi konfliktami między różnymi społecznościami o zróżnicowanej świadomości narodowej i tradycjach etnicznych. Sądzę, że autorka pomyślnie uniknęła tego podstawowego niebezpieczeństwa. Widoczna jest jej troska, by sprawiedliwie ukazać rozbieżne racje wszystkich stron zaangażowanych w konflikt. Otrzymaliśmy obraz społeczeństwa wielonarodowościowego, a raczej wieloetnicznego i wielojęzycznego, w którym przebiegał proces rozwoju różnych — znajdujących się w konflikcie — ideologii narodowych. Niekiedy w podtekście można się domyślać niewypowiedzianej

nuty żalu: „jakby to było pięknie, gdyby było inaczej...”. Autorka uniknęła jednak szczęśliwie kuszącej perspektywy jakiejś sielankowej *historical fiction* i starała się, na ogół z powodzeniem, pokazać dlaczego stało się tak, jak się stało. Czy jest to rodzaj historycznego determinizmu — stało się tak, gdyż inaczej było niemożliwe? Takiego wrażenia nie odniosłem, dostrzegam zaznaczone rozmaite możliwości stojące przed bohaterami, a także przyczyny dokonywanych przez nich wyborów. Dodatkowym walorem książki jest ukazanie nie tylko konfliktów na tle narodowościowym (etnicznym), lecz także sporów wstrząsających poszczególnymi rywalizującymi społecznościami. Chyba pod tym względem najbardziej podzielona była społeczność żydowska, która nie aspirowała wprawdzie do udziału w podziale spornego terytorium (a tym mniej do ustanowienia w nim własnej władzy), lecz przed którą stało polityczne pytanie — kogo (Litwinów czy Polaków) wesprzeć w konflikcie, a przy tym dzieliła się na rozmaite nurty ideologiczne, zarówno religijne, jak polityczne.

Przy znacznej oględności sformułowań, autorka nie unikała krytycznych sądów w wielu istotnych kwestiach. Dotyczy to nie tylko polityków ale także niektórych aspektów działalności błogosławionego Jurgisa Matulevičiusa (Jerzego Matulewicza), biskupa wileńskiego w latach dwudziestych XX w. Krytyka dotyczy działaczy wszystkich stron konfliktów i jest niezależna od ich postaw ideologicznych. Dzięki temu zresztą czytelnik, jeśli zechce zastanawiać się nad pytaniem, kto był winien zaciętości sporów, dojść musi do wniosku, że w gruncie rzeczy odpowiedzialność ponosili wszyscy uczestnicy, może z wyjątkiem „Krajowców”, czyli „Litwinów kultury polskiej”, jak chyba należałoby ich określić. Z tym zastrzeżeniem, że także Krajowcy w gruncie rzeczy lekceważyli Białorusinów

Krytyka dotyczy także zachowania oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego (autorka na s. 138 wspomina m.in. o rozstrzelaniu 34 Żydów w Pińsku w kwietniu 1919 r., lecz niestety nie zna dokumentów i artykułu opublikowanych w tomach 1 i 2 rocznika „Polin”) oraz postępowania władz II Rzeczypospolitej po podziale Wileńszczyzny między Polskę i Litwę, koncepcji polskich polityków, a także postępowania polskiej lokalnej administracji. Zwłaszcza krytycznie ocenia okres po śmierci Józefa Piłsudskiego, którego zgon „doprowadził do zwycięstwa tendencji nacjonalistycznych w obozie rządzącym” (s. 663–664).

W znacznej mierze zgadzam się z generalnymi wnioskami autorki, jak też z wieloma szczegółowymi ocenami. Nauczyłem się wiele z lektury i uważam, że książka należy do najciekawszych prac poświęconych Polsce międzywojennej, które miałem w rękę w ostatnich latach. Podkreślić także należy z uznaniem solidne podstawy źródłowe, w tym zwłaszcza wykorzystanie archiwaliów wileńskich (polskich i litewskich) oraz literatury litewskiej. Gruntowna znajomość literatury polskiej oraz zbiorów archiwalnych znajdujących się w Polsce jest oczywista. Wprawdzie skłonny byłbym dorzucić pewne publikacje, lecz raczej o ubocznym znaczeniu. Zatrzymam się tylko na paru wybranych kwestiach.

Autorka dość krytycznie ocenia postępowanie biskupa Matulewicza, wspierającego proboszczów litewskich i białoruskich w sporach między parafianami, dotyczących zagadnień językowych. Jeszcze bardziej krytycznie ocenia działalność duchownych litewskich i białoruskich, którzy propagowali wśród wiernych swoje narodowe języki i ide-

ologii. Słusznie wskazuje, że prowadziło to (lub wzmacniało) podziały wśród parafian, wywoływało nieraz ostre konflikty. Kwestia jest jednak bardziej skomplikowana, a przede wszystkim należy na nią spojrzeć z punktu widzenia porównawczego. Otóż Litwini, a zwłaszcza Białorusini (w tym tak zwani „tutejsi”) znajdowali się na ogół w pozycji słabszej od swych polskich współwyznawców. Po pierwsze, z punktu widzenia społecznego. Wśród parafian „orientacji polskiej” znaczny był udział szlachty zagrodowej, którą od pozostałych rolników (czyli w kategoriach stanowych — od chłopów) dzielił istotny dystans pozycji społecznej, nieraz także wykształcenia (częsta wśród szlachty znajomość sztuki czytania i pisania). Po drugie, z punktu widzenia przechowywania tradycji minionej świetności Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Po 1920 r. parafianie polscy mieli za sobą także poparcie władz, w tym policji. Jeżeli spojrzeć na zabór pruski, Śląsk oraz Kongresówkę, a także Galicję, to nasuwa się analogia z rolą duchownych narodowości polskiej, „budzicieli” polskiej świadomości narodowej wśród mówiących lokalnymi gwarami chłopów, dla których Polakami byli jedynie ludzie idący do powstania styczniowego. Nie sądzę, by wolno było przykładać odmienne miary do tych środowisk i roli wśród nich duchownych katolickich.

Druga kwestia to opinie o ludności „tutejszej”, czyli deklarującej podczas spisów ludności język, ewentualnie narodowość „tutejszą”, „chłopską”, ewentualnie „polską wiarę”, czyli wyznanie rzymsko-katolickie, lub inne podobne określenia. Autorka słusznie zwraca uwagę, że miejscowe gwary określane jako tutejsze lub chłopskie (w odróżnieniu od języka polskiego, czyli „pańskiego”, znanego raczej szlachcie) były z reguły zrozumiałe dla osób znających język polski (a także rosyjski), niektórzy uważali je po prostu za regionalną odmianę języka polskiego. Także współczesny język białoruski najczęściej jest zrozumiały dla osoby znającej wyłącznie język polski lub rosyjski. W rezultacie autorka dochodzi do wniosku, że w środowiskach wyznających „polską wiarę”, spotykających się w kościele z językiem polskim, utrzymujących kontakty z polską szlachtą, mieliśmy do czynienia z czymś w rodzaju „polskiej masy etnograficznej”, która pod wpływem polskich księży w większości stać się musiała ludźmi o narodowej świadomości polskiej, niezależnie od ich pochodzenia od białoruskich lub litewskich przodków. W rezultacie uznaje politykę polonizacyjną administracji w latach międzywojennych oraz dyskryminowanie języka białoruskiego, zwłaszcza tam, gdzie mieszkali „tutejsi polskiej wiary” za postępowanie uzasadnione.

Należy jednak wziąć pod uwagę, że po pierwsze, szlachta niekoniecznie uważała się za szlachtę narodowości polskiej i z jej środowiska wyrastali także narodowi działacze białoruscy. Po drugie, określanie języków (a tym bardziej lokalnych gwar i dialektów) przymiotnikami narodowymi ma w znacznej mierze charakter polityczny i dwa języki, dla postronnego słuchacza identyczne lub niemal identyczne (na przykład serbski i chorwacki oraz macedoński i bułgarski) bywają uznawane za odrębne języki narodowe. Zgadzam się, że lokalne środowiska „polskiej wiary” mogły być podatne na polonizację. Ale czy z tego wyciągać należy wniosek, że uzasadnione było dyskryminowanie języka i kultury białoruskiej, traktowanie narodowego ruchu białoruskiego jak *ex definitione* wrogi, a co najmniej niebezpieczny dla państwa polskiego? Należałoby, dla porównania, zastanowić się nad polityką władz niemieckich w stosunku do lokalnych społeczności śląskich, mazurskich, warmińskich itd. i porównać ją ze stosunkiem administracji pol-

skiej do miejscowej („rodzimej”) ludności Wileńszczyzny, a zresztą do ludności wszystkich regionów obejmowanych terminem „Kresy Wschodnie”.

Trzecia kwestia to społeczne aspekty stosunków między polskimi ziemianami a chłopami i fernalami. Autorka docenia znaczenie chłopskiego „głodu ziemi” dla stosunków między „plebsem” a właścicielami folwarków oraz dla stosunku do państwa polskiego. Sądzę jednak, że nie mniejsze znaczenie, a czasem może nawet większe miały inne aspekty wzajemnych relacji, gdy we dworze więcej troszczono się o ulubionego psa, niż o chłopą lub fernala, przy czym nie zdawano sobie sprawy, że „poddany” także ma poczucie własnej godności. Zdaję sobie sprawę, że nie należy uogólniać, że stosunki w poszczególnych włościach kształtowały się rozmaicie. Przypomnę jednak „Szczęście lata” Melchiora Wańkowicza, książkę napisaną z sentymentem dla „dawnych, dobrych czasów”, dla minionego „sielskiego” żywota ziemiańskiej rodziny na Litwie. Znajdziemy tam opis paru epizodów, których wątpliwym bohaterem był sam autor. Czytelnik, zwłaszcza bardzo młody, może je przełknąć bez wrażenia, jako przejawy lokalnego folkloru. Trochę czasu minęło, nim przy ponownej lekturze zrozumiałem, jaki był zapewne w tym majątku rzeczywisty stosunek pogardzanego „gminu” do „państwa”, jakie mogły być przyczyny (nie tylko ekonomiczne), gdy białoruscy chłopci mordowali ziemian oraz rabowali i palili dwory.

Czwarta kwestia to krytyka źródeł. Autorka zdaje sobie sprawę z tego, że wykorzystywane przez nią źródła archiwalne mogą zawierać jednostronne lub zdeformowane informacje. Dopiero jednak na s. 649 czytamy: „Można się zastanawiać, czy bardzo ostre oceny stosunków narodowościowych, a zarazem cywilizacyjnych na Kresach, przewijające się często w pochodzących z połowy lat trzydziestych opracowaniach oficerów KOP [...] nie wynikają z odmienności warunków kulturalnych i cywilizacyjnych Kresów Wschodnich od środowiska, z jakiego pochodzili w większości ci [...] ludzie”. Jest to uwaga trafna, której prawdziwość potwierdzają niektóre źródła. Sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. Autorka na ogół nie zadaje sobie pytania, w jakiej mierze rozmaite inne źródła oddają wiernie rzeczywistość, lub ją deformują. Trudno chyba mieć wątpliwości, że do rozmaitych instytucji polskich na Kresach Wschodnich starano się kierować z Warszawy ludzi kompetentnych i godnych zaufania. Nie wierzę jednak, by takimi byli wszyscy, zaczynając — powiedzmy — od szczebla władzy powiatowej w dół. Dość przypomnieć dokumenty o pogromie w Brześciu wydane przez Wojciecha Śleszyńskiego („Zajścia antyżydowskie w Brześciu nad Bugiem 13 V 1937 r.”, Białystok 2004). Można przypuszczać, że przy pisaniu co najmniej części sprawozdań płynących z Kresów Wschodnich do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ich autorzy zastanawiali się, co też pan minister chciałby przeczytać, albo też nad tym, w jaki sposób przekazać informacje, by pan minister zareagował zgodnie z interesem piszącego. Wreszcie należy pamiętać, zwłaszcza przy korzystaniu z relacji dotyczących stosunków narodowościowych, że zewnętrzny obserwator nieraz nie rozumie kłopotów odczuwanych przez mniejszość i przy najlepszej woli jego informacje są nieścisłe.

Piąta kwestia to stosunek administracji polskiej do „tubylców”. Wiąże się to bezpośrednio z epizodami opisanymi we wspomnianej wyżej książce Śleszyńskiego. Fragmentaryczne relacje świadczą o tym, że administracja, zwłaszcza niektórzy funkcjonariusze jej najniższych szczebli, traktowali nieraz „tubylców” podobnie jak Europejcy

kolonizatorzy odnosili się do niecywilizowanych plemion w głębi Afryki. Charakterystyczne są biografie niektórych przedstawicieli białoruskich elit politycznych, a razem intelektualnych. Autorka w związku ze stosunkami polsko-białoruskimi ukazuje tragiczne losy Bronisława Taraszkiewicza, autora pierwszej gramatyki języka białoruskiego. Taraszkiewicz karierę polityczną rozpoczął jako zwolennik współpracy z Polską. Poniósł porażkę, flirtował bez wzajemności z Litwą, próbował znaleźć swe miejsce w systemie politycznym niepodległej Polski, aż wreszcie zdecydował się oprzeć na komunizmie. Doprowadziło go to do polskiego więzienia (gdzie przełożył „Pana Tadeusza”, podobno najlepszy z przekładów). Dzięki polsko-radzieckiej wymianie więźniów wyjechał do ZSRR, lecz nie pozwolono mu by osiedlił się wśród rodaków, aż zakończył życie jako kolejna ofiara walki z nacjonalizmem. Części jego spuścizny literackiej nie udało się odnaleźć; być może nadal pozostaje w radzieckich archiwach policyjnych.

Na dwa specjalne zagadnienia chciałbym jeszcze zwrócić uwagę czytelników. Dotyczy to polskich spisów ludności na Wileńszczyźnie oraz uznawania obywatelstwa polskiego na podstawie tzw. małego traktatu wersalskiego oraz związanych z nim rozporządzeń.

W polskiej literaturze statystycznej i historycznej dominuje krytyczny stosunek do wiarygodności spisów ludności, zwłaszcza do spisu z 1931 r. Na Wileńszczyźnie przeprowadzono dwa spisy w latach 1919 i 1931. Autorka zwraca uwagę na podstawowe przyczyny niedostatecznej przydatności pierwszego spisu, przeprowadzonego podczas nieobecności znacznej liczby osób, które schroniły się w Rosji przed ofensywą niemiecką w czasie wojny i jeszcze nie wróciły (s. 149–151). Sądzę, że nie mniej istotną przyczyną były warunki przeprowadzenia spisu, przez władze polskie. Jednak, pomimo jeszcze innych wątpliwości, pozostaje on jedynym, choć niedoskonałym, źródłem dotyczącym stosunkach narodowościowych na Wileńszczyźnie w 1919 r. Znacznie bardziej wiarygodny był spis z 1931 r. (s. 503–524). Autorka wykorzystała przy tym dokumenty znajdujące się w archiwach wileńskich, które pozwalają na wniosek, że na omawianym obszarze spis ten przebiegał w warunkach bardziej sprzyjających wiarygodności zgromadzonych danych, niż w pozostałych województwach kresowych. Niemniej korzystanie z jego wyników również wymaga ostrożności. Zwłaszcza nie mamy i chyba nigdy nie znajdziemy odpowiedzi na pytanie, jaka część respondentów odpowiadała na pytania spisowe zastanawiając się, co najbardziej spodoba się komisarzowi spisowemu (tak wówczas określano ankietera).

Może jeszcze ciekawsze są dokumenty, także odnalezione w Wilnie, w sprawie „akcji sumarycznego stwierdzenia obywatelstwa” przeprowadzonej na Wileńszczyźnie w latach 1925–1927. Na pozostałym obszarze Kresów Wschodnich postępowanie zmierzające do stwierdzenia obywatelstwa ludności rozpoczęto wprawdzie wcześniej, ale zakończono także po zamachu majowym. Co ważniejsze, jak wynika z dokumentów zachowanych w zespole akt Icchaka Grünbauma przechowywanych w Jerozolimie w Centralnym Archiwum Syjonistycznym, przebiegało ono tam odmiennie, przy wyraźnej niechęci lokalnej administracji do uznawania praw mniejszości narodowych do polskiego obywatelstwa. Sądzę, że zagadnienie to zasługuje w przyszłości na bliższe zbadanie.

Na zakończenie tych uwag dodam dwie prywatne pretensje do autorki tej ważnej i dobrze napisanej książki. Nie mogę wybaczyć upstrzenia całego tomu znakiem *Sic!*, czy trzeba, czy nie trzeba: „zakłady (*Sic!*)” „zakupy (*Sic!*)” s. 534 i inne. Wystarczyło zaznaczyć we wstępie, że we wszystkich cytatach pozostawiono oryginalną pisownię. Trudno także wybaczyć rozmaite wtręty (choć nie tak częste) terminologii buszującej po publicystyce politycznej (zazwyczaj kiepskiej), jak np. „lider”, „zabezpieczyć” (zamiast zapewnić), s. 433; „skutkujący” (s. 468).

Jerzy Tomaszewski  
(Warszawa)

\* \* \*

Peter Hopkirk, *Wielka gra. Sekretna wojna o Azję Środkową*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2011, s. 718.

Z zadowoleniem należy odnotować pojawienie się na polskim rynku wydawniczym tłumaczenia tej książki Petera Hopkirk'a (tytuł oryginału „The Great Game. On the Secret Service In High Asia”, 1990, 2006). Autor, zanim zajął się pisarstwem, był młodszym oficerem w King's African Rifles. Później parał się dziennikarstwem, m.in. przez prawie dwadzieścia lat pracował dla „The Time”. Opublikował sześć książek, wszystkie poświęcone rywalizacji mocarstw w Azji Środkowej.

Recenzowana praca uznawana jest za najlepszą z nich. Głównym jej tematem jest skomplikowana „Wielka gra” prowadzona w Azji Środkowej przez dwa najważniejsze mocarstwa w XIX w. — Imperium Brytyjskie i Rosję. Należy przy tym podkreślić, że Hopkirk nie ograniczył się do działań i polityki tych dwu państw, lecz uwzględnił także lokalnych aktorów.

Publikacja liczy 37 rozdziałów, z których wiele opatrzonych zostało intrygującymi tytułami (np.: „Żółte niebezpieczeństwo”, „Dziwna historia dwóch psów”, „Noc długich noży”, „Chłód stali na gardle”, czy „Tam, gdzie schodzą się trzy imperia”), prezentujących w porządku chronologicznym brytyjsko–rosyjską rywalizację w omawianym regionie. Punktem wyjścia stało się zainteresowanie cara Piotra Wielkiego Indiami, a finałem porozumienie z 1907 r. o podziale wpływów w Azji między Imperium Brytyjskim i Rosją. Niewątpliwą zaletą książki jest sposób przedstawiania zachodzących wydarzeń. Hopkirk prezentuje bowiem wielką politykę zarówno poprzez decyzje znanych polityków, jak też barwnie opisując działania osób realizujących tą politykę „w terenie”. I ten właśnie aspekt sprawia, że „Wielką grę” czyta się jak wciągający kryminał mając jednocześnie świadomość, że opisywane zdarzenia wydarzyły się naprawdę. Prolog zaczyna się plastycznym opisem egzekucji pułkownika Charlesa Stoddarta i kapitana Arthura Conolly'ego w Bucharze w 1842 r. Dalej spotykamy tak fascynujące postacie jak porucznik Henry Pottinger, kapitan Nikołaj Murawiew, kapitan Alexander Burnes, porucznik Eldred Pottinger, hrabia Nikołaj Ignatiew, generał major Michaił Czerniajew, George